

# Pierze na puchu

## I.

Dopadało ją to chyba głównie w nocy, kiedy obserwowała księżyc w jego kolejnej fazie i marzyła, żeby podobnie jak on, zacząć na nowo. Takie ukryte rozdarcie, które wychodziło na zewnątrz w postaci zwilżonych powiek, jakby samo rozrywanie szponami myśli i wnętrzości nie wystarczało.

Czy było więcej ludzi na świecie, których zdołała odkryć, czy więcej różnokształtnych płatków śniegu, które zdążyły ją odnaleźć jako pierwsze? I kiedy tak bezwiednie dotykały jej ubrań, wszystkie różne, ale zmierzające w tym samym kierunku, wspomnienia zalewały ją bardziej dosadnie niż mgła zapomnienia. Zaś jej serce szarpane bezustannie niepokojem, powodowało ból w skroniach.

Nie pamiętała już, kiedy po raz ostatni doświadczyła głębokiego snu, takiego po którym miałyby siłę rozpocząć kolejny monotony dzień. Ostatnie tygodnie wypełnione były jedynie sennymi marzeniami, które wprawiały ją w zdezorientowanie podobne do tego, które następuje po czyimś odejściu. O, ironio, czy nie wystarczyłby jej jeden rodzaj otępienia? I chociaż ubytek wydaje się być czymś, co można z łatwością zapełnić na nowo, jakoś nie potrafiła znaleźć substancji, która pasowałaby do tej szczeliny po bezpowrotnym zgubieniu elementu układanki.

Może za mało robiła; za mało wychodziła, za mało mówiła, za mało doceniała. A może za mało ten świat jej oferował, jak gdyby mówiąc „dość, swoje już dostałaś” — jakkolwiek niesprawiedliwe by się to mogło wydawać, już wcześniej miewała myśli, że jest to więcej niż coś na co mogłaby sobie zasłużyć. Ale przecież miała to w garści. Trzymała tak mocno, że aż białały jej knykcie; jak najcenniejszy kamień, czując na sobie odpowiedzialność pierwszej osoby, która odkryła wartość rubinu (wyrwanego z własnej piersi, bo co cudze było wtedy podobno jej). Więc dlaczego wszechświat pozwolił dać się temu wyslizgnąć? Dał jej nadzieję, odbierając ją z następnym podmuchem wiatru. Być może żaden prezent tak naprawdę nie należy do nas, nawet jeśli podarowany z najszczerzym zamiarem.

Ale świat oferuje dużo więcej, niż mogłoby się wydawać dla tych, którzy zauważają jego starania. Dlatego zaczęła słuchać uważniej, dzięki czemu też nawet dość często popełniała wiersze. Wtedy właśnie po raz pierwszy naprawdę usłyszała jak brzmi morderstwo.

## II.

Przerywany dźwięk krakania rozlegał się tuż przed tym, jak słońce zaczęło ziewać barwami po niebie. Odcienie różu i pomarańcza tak rzadko spotykane po barwnej jesieni potrafią ucieszyć, gdy są jedynym żywym elementem świata. Zimy bywają miłe chyba tylko dla tych, których kości przemarznięte są nawet latem, więc owinięcie się ciepłym kocem jest dla nich zbyt zbytecznym komfortem. Podobnie ciemne upierzenie ptactwa zwiastującego nieszczęście — jedynie farmazonem.

Bo jakim zagrożeniem może być wyrok śmierci dla już dawno nieżyjącego?

Wrony kołowały nad jakimś bliżej nieokreślonym kształtem, robiąc zamęt. Ona była zirytowana, bo niewyspana. Ale mając dość bezczynnego leżenia, zdecydowała się wyjść im na spotkanie: wzięła z szafy ręcznie robiony szal, ten najcieplejszy w jej kolekcji, burgundowy. Lekki uśmiech pojawił się na jej ustach na najstarsze wspomnienie związane z tym podarunkiem. Szybko jednak pokręciła głową, wyrażając niezgodę na takie rozmyślania samej sobie. Pospiesznie opuściła liche ciepło domu, jak gdyby obawiając się, że dźwięk ustanie nim zdąży go zrozumieć i zapamiętać, jak zesłonocny sen.

Drzewa, nagie, obnażały przed nią wszystko, czym były, ale wciąż chowały przed światem korzenie, na których tylko czasami pozwalały się potknąć, z nudy; chociaż o tej porze roku stopy i tak nie spotkałyby się z nimi ze względu na warstwę białego puchu pokrywającego wszystko, co można było ogarnąć spojrzeniem, poza samym horyzontem.

Tuż przy polnej dróżce prowadzącej w stronę niezbyt gęstego, ale przyciągającego złowrogim urokiem lasu, leżał pas bieli; nienaruszony gdyby nie plama czerni na jego powierzchni, która otulona burgundem wydawała się posiadać szalik, podobnie do niej samej. Odruchowo poprawiła ciepły pas wełny na swojej szyi, nim zrobiła kolejny krok.

Ptasi trup, czarna śmierć, jakkolwiek by to określić. Morderstwo. Nie cała grupa wron, jak ją nazywają w języku angielskim, ale pojedyncze, chociaż równie druzgocące; wywołujące płacz u pozostałych ptaków, a niekontrolowany szok na jej twarzy, chociaż już nie raz spotkała się ze śmiercią na tym świecie.

Nie wiedziała ile tak stała, aż usłyszała kroki zapowiadające czyjąś obecność, jak skrzywienie otwieranych w starym domu drzwi.

— Ścierwa tak grasują już od samego świtu, nie dają się człowiekowi nawet wyspać. Gorsze niż baba na jarmarku, naprawdę — gruby głos odezwał się tuż zza jej pleców, jednocześnie szorstki i oślizgły, jak gdyby oblepiony szlamem.

Odwróciła się w stronę niskiego mężczyzny, którego włosy przyprószył już puch wieku. Spojrzała na niego pytająco, rozważając swoją odpowiedź na wypowiedziane przez niego słowa. Wydawało jej się, jakby zupełnie odzwyczała się od kontaktów międzyludzkich, a gdyby się odezwała, jej głos mógłby zabrzmieć dość słabo w bezkresie sytuacji w której się znalazła; jak fala o niesłyszalnej dla ludzkiego ucha częstotliwości. Mężczyzna chyba wyczytał z jej milczenia dezorientowanie, więc próbował się wytłumaczyć:

— Jeden ptak mniej to dla takiego stada żadna strata, a dla mnie może kilka godzin snu więcej, jeśli ze strachu przestaną latać po tej okolicy.

Jego uśmiech był wręcz obrzydliwy, wywoływał dreszcze. Odwróciła swój wzrok w stronę czarnej zamieci, która działa się nad śniegiem. Dopiero wtedy zorientowała się, że wrona nie zginęłaby bez powodu. To właśnie przez tego mężczyznę jej życie dobiegło końca.

Po połączeniu tej myśli ze wspomnieniem jego słów sprzed kilkunastu sekund poczuła w sobie jakąś żrącą substancję, która łaknęła wydostania się z jej gardła za wszelką cenę.

Wybuch był tuż, tuż, a wtedy on znowu się odezwał:

— Jednej już zamknąłem dziób, a te kraczą i kraczą, jeszcze głośniejsze niż przedtem. Wcale się nigdzie nie wybierają... Może trzeba je jeszcze trochę postraszyć, co panienko?

— One kraczą, a twój własny dziób jakoś wciąż się nie zamyka. Dobrze by nam wszystkim zrobiło gdybyś to ty stąd zniknął, w tym momencie — szybko odwarknęła.

Może i nie było sensu klócić się z kimś tak ewidentnie ograniczonym. Nie zważała na przekleństwa, które opuściły jego usta tak szybko, jak tylko zrozumiał, że nie zyska jej sympatii. Jad wydobywał się z niego za jej plecami, a niewinna krew sączyła się na białe podłoże przed nią. To w jej stronę zdecydowała się skierować swoje kroki, na głos przepaszając kołujące nad trupem wrony, jak gdyby przeciskała się przez duszne wnętrze autobusu.

Widok był bardziej poruszający z bliska, kiedy była w stanie dokładnie zobaczyć częściowo już zaschnięte, ale nadal lśniące krople wina na aksamicie czerni. Do tego ciemne ślepia pozbawione już życia, które obrazowały wysrane wnętrze zwierzęcia.

Nie przyglądając się dłużej, ściągnęła szal ze swojej szyi. Owinęła czerwień w burgund, układając go delikatnie na krwistej plamie śniegu. Stado ucichło w jej głowie, kiedy rozległ się dźwięk odpalania zapalniczki; w myślach podziękowała sobie za zabijający ją nawyk, który zmuszał ją do noszenia tego przedmiotu wszędzie ze sobą.

Podpaliła zwłoki, obserwując jak pomarańczowe języki rozpuszczają wszystko, czym było i mogłoby jeszcze się stać zwierzę. Ogień uniósł w górę resztki zwątpienia; kilka lat wroniego życia znaczy więcej na ile wycenił je ten mężczyzna, tego była pewna.

Jaką różnicę robi fakt, że jako ludzie żyjemy kilka razy dłużej niż one? Czy w jakikolwiek sposób usprawiedliwia to naszą brutalność?

Słuchając krakania zmieszanego z dźwiękiem pożywiającego się płomienia zdała sobie sprawę, że brzmi ono jak pieśń żałobna. A skoro tak, to nie była sama w swej udreće. Straty nie są porównywalne, ale jeśli by były, to to stado straciło znacznie więcej niż ona, bo jedno z ich istnień zostało niewytłumaczalnie nagle usunięte z powierzchni ziemi. Nieodwracalnie stało się jednym z glebą, z padliną, którą się kiedyś żywiło.

Może i ogrom świata sprawia, że mała ilość często się wchłania, ale i tak pozostawia za sobą ślad, nawet jeśli powierzchownie niewidoczny; często w postaci bólu.

Odwróciła się do obserwującego jej poczynania człowieka, wydającego się być tak daleko od niej, a jednak tak blisko swoim człowieczeństwem, że aż wstydziła się za niego. Była nim zde gustowana. Strzelba w jego dłoni powodowała iskry w jej wnętrzu, dlatego postanowiła odejść z miejsca zbrodni zanim stanie się jednym z ogniem żałoby.

— Jeszcze raz użyjesz tego by skrzywdzić bezbronnego, obiecuję złożyć ci wizytę. I to wcale nie po to, żeby wypić z tobą herbatę — zdołała wydusić z siebie, nie nagradzając go już swoim spojrzeniem.

Wrony nadal krakały, rzeźbiąc swoje głosy coraz głębiej w jej umyśle z każdym krokiem, z którym się od nich oddalała. Gdyby jeszcze raz się odwróciła, mogłaby dostrzec, że ogień pod nimi powoli dogasał nie mając już na czym ucztować, a na śniegu pozostało tylko kilka czarnych piór, wyglądających zbyt wyrefinowanie jak na ten krajobraz; jak liście rozłożone na słońcu do wyschnięcia z jesiennych barw.

### III.

Płatki spadające z chmur przypruszały delikatnie drzewa w jej ogrodzie, jak gdyby próbując zakryć świat pudrowym kocem. Ich nagie gałęzie wydawały się potrzebować ciężaru tej dodatkowej warstwy chłodu, po tym jak dały liściom odejść wraz z końcem lata.

Kolejny dzień przyniesiony został przez wyjątkowo zimny wiatr, usilnie próbujący bawić się z chmurami w berka, a oprócz tego porywający wszystko, co tylko stanęło mu na drodze i nie było zbyt ciężarem.

Ale oprócz zabierania, jego podmuch również dawał; pod oknem jej niewielkiego domu niemalże bezdźwięcznie ułożył kilka piór w kolorze węgla, który miał moc wytwarzania żaru. Podobnie w swojej klatce piersiowej zaczęła odczuwać coś jakby topnienie lodu, jak

pierwsze przebiśniegi roku, jak strumień, który zerwał się z kajdan mrozu, z powrotem wolny, nareszcie błogo i leniwie zmierzający przed siebie. Było to dziwne uczucie, móc odczuwać ciepło pomimo chłodu; delektować się powolnym topnieniem wnętrza pośród zewnętrznej zimy.

Delikatnie uniosła głowę. Odważyła się spojrzeć światu prosto w oczy, wzrokiem spotykając się z kilkoma parami ślepi, obserwującymi ją z bezpiecznej odległości. Czerń, srebro i biel. A do tego niemal gwiazdny błysk w bystrym spojrzeniu. Tak wyglądali jej towarzysze, siedząc na gałęziach i walcząc z coraz silniejszymi podmuchami wiatru, jak gdyby odbijający się w lustrze przed nią; a może raczej to ona odbijała ich barwy, niczym Księżyc bezkresnie oddany Słońcu. Nie była ona bowiem osobą wyróżniającą się w jakikolwiek sposób od ohydnej szarej masy, kolorami zbliżona bardziej do tych pospolitych części pól i mórz niż do szlachetnych kwarców, ale za to powoli uczącą się sztuki utrzymywania się na kruchej gałęzi istnienia.

Patrzyła im w oczy długo i z czułością. Taką, o jaką posądza się matkę dziecka; taką, z jaką patrzy się w oczy kochanka; taką, którą obdarza się w chwili wdzięczności najdroższego przyjaciela. Bo przecież wrony były tutaj, z nią, na drzewie widocznym przez jej okno, również zeszłego roku (i może i kilka lat wcześniej, może nawet dekadę temu, chociaż tych wspomnień na razie nie potrafiła odkopać w odległych zakamarkach swojej pamięci). Rok temu została zbudzona przed świtem, przez to "kra, kra, kra"... Rok temu, dzięki ptakom, miała okazję oglądać jedną z najpiękniejszych pobudek słońca, jakich do tej pory doświadczyła w swoim życiu, mimo że było to podczas jednego z najtrudniejszych dla niej okresów. Pamiętała to wyraźnie i dziękowała całym swoim jestestwem, że ten dźwięk wydobywał się tak obficie z gardeł tych stworzeń nawet w najzimniejsze dni roku, przynosząc ciepło — bo znajomy głos często przypomina gałązkę dodaną do ledwo tłącego się załączka ognia, która pozwala płomieniowi urosnąć. A ten rozgrzewający wroni głos, zarówno przed rozpoczęciem kolejnego dnia, jak i przed jego zakończeniem, płynął rześkim, wiosennym strumieniem, przynosił ciemne znaki obecności i przypominał, że jest coś takiego jak istnienie.

Czym jest nadzieja, jeśli nie odgłosem rozlegającym się tuż przed świtem? Nieustannie, bez zmian, pomimo najmroczniejszej z nocy. Może i niezrozumiale, irytująco, ale pozwalającym kochać nawet opad zimnego śniegu skoro ten i tak w końcu ustąpi zieleni traw.

Może nic nie jest nam dane na wieczność, bo niczego nie jesteśmy w stanie zabrać ze sobą będąc już padliną pożywną dla ptaków, a jedyne co tak naprawdę posiadamy to wspomnienia, uczucia których doświadczyliśmy dzięki temu światu. Te umierają razem z nami, ale nie giną.

Idą dalej, z wiatrem. Wysłuchują ich łąki w lecie, lasy przed nadejściem zimy; wszystko, co posiadamy odleci wraz z wronami, które każdego zmierzchu poszukują odrobinę bezpieczniejszego drzewa na nocleg. Pióra, które opadną z ich lotu, zostaną na długo po tym, jak krakanie wygaśnie, będą tam odpoczywać jak plama atramentu wsiąknięta w białą zasłonę wszechświata.

Chociaż nasz ślad w ekosystemie jest jedynie piórem ptaka, to nadal ośmielamy się mieć nadzieję na to, że nie zwiędniemy tej zimy. Nadal mamy nadzieję, że wiosna o nas nie zapomni, że jesteśmy warci istnienia w jej pamięci, tak jak ona istnieje w naszej.